N^RO 24

ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE.

Utile Dulci.

PISMO DODATKOWE

DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.

we Środę dnia 27 Czerwca 1827

I.

RYP VAN-WINKL,

Powieść Gminna Waszingtona Irwinga, z dzieła: The Skeetch book.

(Dokończenie.)

Gdy się Ryp ocknął, znalazł się na teyże samey łączce skąd poraz pierwszy postrzegł starca idącego dołem — przecierał oczy — pozierał na wszystkie strony. Ranek był prześliczny. Ptaszki śpiewaiąc snuły się pomiędzy krzakami w świeżém gór powietrzu. «Zapewna — myślał Ryp — nie całą noc tu przespałem.» Przypominał wszystkie okoliczności, sen poprzedzaiące: dziwnego człowieka z beczułką napoiu, rozpadlinę, góry, dzikie i samotne mieysce między skałami, nieszczęśliwą grę w kręgle, kufel — oh ten kufel, przeklęty kufel! — pomyślał sobie — iakże się teraz wykręcę przed żoną?»

Obeyrzał się na strzelbę; lecz zamiast pięknéy oczyszczonéy ptaszynki, znalazł przy sobie iakąś starą rusznicę, z zardzewiałą rurką, z odpadłym zamkiem i złożą prawie zupełnie spróchniałą. Podeyrzenie padło na poważnych goralów, że zapewne oni wypłatali mu tego figla i podpoiwszy zamienili strzelbę. Wolf zginął także; ale ten może się gdzie za wiewiórką lub kuropatwą zagonił. Ryp gwizdał, wołał go po imieniu, na-próżno: echo tylko przedrzeźniało głos i gwizdanie, a pies nie przybiegał.

Przedsięwziął więc obeyrzeć mieysce, kędy wczora przechodził, i ieśli mu się zdarzy spotkać którego z graczów, dopomnieć się o swego psa i strzelbę. Kiedy w tym zamiarze wstawał z ziemi, poczuł, że wszystkie iego członki były iakby otrętwiałe, wszystkie stawy nie miały giętkości przywoitéy. — «Górna pościel nie bardzo mi służy — pomyślał sobie — i ieśli te żarty to zrobią, że będę musiał kilka dni w domu przesiedzieć, nasłucham się pięknych słówek od moiéy żoneczki.» Z trudnością dostał się na dolinę; lecz iakże się zdziwił, widząc koryto kędy wczora towarzysz go prowadził, napełnione strumieniem płynącym z góry. Szmer wody bystrem pędem spadaiący ze skały na skałę rozlegał się po całéy dolinie. Ryp iednak spełzł aż do samego brzegu strumyka, przedzierał się przez gęste krzaki leszczyny i brzozy, często się potykał

nie raz stawał uwikłany w wiotkie gałązki dzikich winogron, które wiiąc się od drzewa do drzewa iak siecią przegradzały mu drogę, i nakoniec przybył do kresu, gdzie rozpadlina powinna była od koryta ku amfiteatrowi prowadzić. Ale nie znalazł żadnego śladu, ni rozpadliny, ni ścieszki: wąwòz kończył się nagle głęboką iamą, przez którą silnym wodospadem potok przebiegał i rzucaiąc śnieżyste piany, upływał do obszernéy sadzawki, oczernionéy cieniem drzew nadbrzeżnych. Tu więc biedny Ryp zatrzymać się zmuszony, znowu gwizdał i na psa wołał; lecz mu tylko odpowiadało skrzeczenie srok zlatuiących z suchego drzewa, pochylonego nad przepaścią, blaskiem słonecznym oświeconą. Ptaki te z bezpiecznéy wysokości poglądaiąc na dół zdawały się naigrawać ze zgryzot stroskanego Rypa. Cóż było począć? Przyszedł ranek i Ryp bardzo czuł potrzebę śniadania, żałował i psa i strzelby, i lękał się nieprzyiemności od żony; z tém wszystkiém pościć między górami było nie wygodnie: pokiwał głową, zarzucił na plecy zardzewiałą strzelbinę i z sercem pełném goryczy ruszył do domu.

Zbliżaiąc się ku wiosce postrzegał wielu ludzi, ale zupełnie sobie nieznaiomych. To go mocno zadziwiło, gdyż w całéy okolicy nie było nikogo, kogoby on nie znał. Króy ich ubioru podobnież obcym się mu wydawał. Wszyscy bez wyiątku spoglądaiąc na niego chwytali się za brody. Ryp widząc takowe rąk poruszenia, mimowolnie prawie toż samo uczynił, i z niezmierném podziwieniem znalazł, że iego broda wyrosła na całe pół łokcia.

Nakoniec, kiedy wszedł do wioski, gromada chłopców nieznaiomych popędziła się w ślad za nim, z krzykiem dziwuiąc się iego siwéy brodzie. Psy nie te, co były z nim poznaiomione, szczekały nań z każdego domu; sama wioska nawet zmieniła się niezmiernie: stała się daleko obszernieyszą i ludnieyszą, rzędy nowych domów, iakich dotąd tu nie widział, zaymowały mieysce iego oczom znaiomych. Zupełnie obce nadedrzwiami napisy, obce twarze w oknach, słowem: wszystko było dziwne, wszystko niepojęte. Biedny Ryp stracił głowę, myślał, że i on i cokolwiek go otaczało zostało oczarowane. Niewątpliwie poznawał rodzinną osadę, z któréy się wczora oddalił. Na témże mieyscu wznosiły się góry Katskil, srebrzysty Hudson płynął w teyże odległości, każdy pagórek stał na témże mieyscu co i wprzódy. Ryp zgoła nie wiedział co czynić. «Ten kufel — myślał sobie — diabelnego wyrządził mi figla przeszłey nocy.»

Nie łatwo znalazł drogę do własnego domu, i z taiemną boiaźnią zbliżał się ku niemu spodziewaiąc się co chwila usłyszeć wrzaskliwy głos Mistress van-Winklowey. Lecz cóż zobaczył? dom rozwalony, dach zapadły, potłuczone okna, drzwi z zawiasòw zerwane: chudy pies, podobieństwo wolfa, leżał na progu. Ryp zawołał go po nazwisku, ale pies zawarczał, pokazał zęby i uciekł z domu. To iuż było ostatnie nieszczęście. «I móy pies kochany — mówił Ryp z westchnieniem — i ten mię zapomniał.»

Wszedłszy wewnątrz domu, który (słuszność oddać należy) żona Winkla zawsze w porządku utrzymywała, znalazł same pustki, zawalone gruzami i poznał niezawodnie, że mieszkanie było opuszczone. Podziwienie iakie ogarnęło Rypa, kiedy postrzegł dom swóy zniszczony, zwyciężyło w nim strach małżeński: głośno zawołał żony i dzieci: puste komnaty głos iego powtórzyły; lecz natychmiast znowu powszechne wróciło milczenie.

Wyszedł z domu i dążył do przybytku swoiéy pociechy, do szyneczku; ale i te

zniknął także. Na iego mieyscu stała wielka drewniana budowa z obszernemi oknami. Niektóre szyby wybite zasłaniały stare kapelusze lub podarte spodnice, a nade drzwiami było napisano: «*Hotel związkowy utrzymuie Dżonatan Dulitl.*» Na mieyscu pięknego drzewa ocieniaiącego niegdyś starożytny szyneczek hollenderski, stała utkwiona w ziemię wysoka tyczyna maiąca na wierzchu coś podobnego do czerwoney szlafmycy, z pod którey winęła się chorągiew z namalowanemi iakiemiś gwiazdami i włosami; wszystko to było obce i nie pojęte Rypowi. Poznał iednakże tablicę z godłem nad sieniami, gdzie tylekroć palił lulkę spokoyny; ale wszystko miało postać dziwnie zmienioną, i u spodu tablicy wielkiemi literami umieszczony napis: Jenerał *W*aszington.

Tam podobnież iak dawniey około drzwi było mnóstwo ludzi; ale z nich Ryp nie znał żadnego. Zmienił się sam nawet charakter narodowy: zamiast nałogowey flegmy i ospałey spokoyności, dawał się słyszeć spór żwawy. Próżno Ryp poglądał na wszystkie strony, czy nie postrzeże gdziekolwiek mądrego Mikołaia Weddera z szeroką twarzą, z dwupiętrowym podbrodkiem, z długą ozdobną lulką, puszczaiącego chmurki dymu, zamiast próżney gawędy; albo bakałarza van-Bummelema, rozdymaiącego płuca dla przeczytania starey gazety. Na ich mieyscu wyschły żółtawy człowiek z pełnemi kieszeniami wiadomostek, rozprawiał o przywileiach obywateli, o wyborach, o członkach kongressu, o zwycięzcach siedmdziesiąt szóstego pułku i o tym podobnych rzeczach; a wszystkie te słowa zdawały się bydź ięzykiem babilońskim zdziczałemu Ryp van-Winklowi.

Przybycie siwobrodego Rypa z zardzewiałą strzelbą, w obdartém odzieniu, gonionego w ślad przez tłumy bab i dzieci, ściągnęło uwagę polityków traktyerowych: zaczęto go obstępować do koła i z nadzwyczayną ciekawością przeglądać od nóg do głowy. Mówca gromady odprowadziwszy go na bok, zapytał po cichu, do którey strony należy. Ryp wytrzeszczył oczy na to zapytanie.

Drugi małego wzrostu chłopak, wziął go za rękę i wspiąwszy się na palce, szepnął mu do ucha «Czy iesteś Demokratem czy Federatem?» To ieszcze bardziey odurzyło Rypa: zupełnie nie wiedział co miał odpowiedzieć. Tymczasem iakiś nie młody człowiek w ostrokątnym kapeluszu, na prawo i na lewo rozsuwaiąc tłum łokciami, przecisnął się do Rypa, i z miną poważną stanąwszy wprost naprzeciw iego, oparł iedną rękę na swoim kłębie, a drugą na lasce. Ostry róg kapelusza i ostry wzrok poważnego człowieka, zdawało się, że chcą na wskróś przeniknąć duszę Rypa. Zapytał go zaraz, dlaczego ze strzelbą przyszedł na obrady i przyprowadził za sobą tłum ludu, iakby w zamiarze zbuntowania wioski — «Ach móy panie! zawołał Ryp lękliwie, iestem biedny i spokoyny człowiek, tuteyszy rodem i wierny poddany Króla, day Boże mu zdrowie.

Natychmiast wszczął się krzyk powszechny »Szpieg! precz, precz, wypędzić go! Nakoniec mąż poważny w tróygraniastym kapeluszu, uśmierzył zgromadzenie z niemałym trudem, i znowu przyiąwszy minę surową, marszcząc brwi, zapytał obwinionego, zkąd przychodzi i kogo szuka. Nieborak uręczał pokornie, że nie myślał wzbudzać naymnieyszego zamieszania, i wstąpił tu iedynie chcąc znaleźć kogokolwiek z sąsiadów, bywaiących w traktyerze — »Dobrze więc, cóż oni za iedni, wymień ich po nazwisku» — Ryp pomyślał trochę, i zapytał gdzie Mikołay Wedder.

)(

Kilka chwil trwało milczenie, lecz wkrótce ieden staruszek odezwał się mocnym głosem: — »Jakiego chcesz Weddera, iuż temu lat ośmnaście, iak on umarł i pochowany. Tam na cmentarzu stała deska z nagrobkiem dla niego, ale i ta spróchniała i upadła.»

—»A gdzie Brom Holender?....

»O! on poszedł do woyska na początku woyny — Powiadaią, że został ubity przy oblężeniu Stoney Pointa; drudzy zaś mówią, iakoby utonął podczas potyczki u przylądka Antoniusza. Wreszcie nie wiem, tylko nigdy tu nie powracał.»

—»No, to gdzież iest nauczyciel van-Bummelen? »On także poszedł na woynę, był wybornym ienerałem milicyi, i teraz ieszcze iest na kongresie.

Rypowi serce zamarło, skoro się dowiedział, iakie przemiany zaszły z iego domem i znaiomemi — I tak więc został sam ieden na świecie! każda odpowiedź zadziwiała go wzmianką o tak długim przeciągu czasu, albo wyrażeniem, którego on zgoła nie poymował: woyna—kongres—Stoney Point; — zabrakło mu iuż odwagi, żeby mógł ieszcze o kimkolwiek zapytać; nakoniec, prawie w rozpaczy, zawołał: »a czy zna tu ktokolwiek Ryp van-Winkla?»

—»O! Ryp-van-Winkla! odezwało się kilku razem — »iakże go nie znać, otóż on siedzi pod drzewem.»

Ryp obeyrzał się i postrzegł w istocie swoię postać, iaką miał wtenczas, kiedy ostatni raz szedł na polowanie — zupełnie tak leniwą i obdartą. — Teraz biedak stracił przytomność do reszty, i zaczął powątpiewać o sobie, czy rzeczywiście żyie, albo czy nie przemienił się w innego człowieka.

W téy chwili właśnie, poważny człowiek w tróykątnym kapeluszu, zaczął znowu zadawać pytania.

— »Któż ty iesteś i iak się nazywasz?»

»A Bóg wié — zawołał Ryp — »Jest to dzieło iego naywyższéy mądrości — Już ia nie iestem sam sobą; iestem iakimś innym — Tam iest iakiś ia — nie, tam ktoś inny, tylko w moiéy postaci. Ja byłem ia przeszłéy nocy, lecz zasnąłem w górach, zamieniono mnie strzelbę i wszystko się przemieniło, i iam się sam przemienił—Nie wiem iak się nazywam i kto iestem.

Widzowie zaczęli poglądać się nawzaiem, kiwać głowami i mrugać oczyma iedni do drugich. Wielu z nich przytknęli sobie palce do czoła. Powstało szeptanie, iakimby sposobem dostać w ręce tę strzelbę, żeby starzec nie narobił z nią licha; a tymczasem poważny mąż w tróykątnym kapeluszu, słysząc podobne obawy, zręcznie zamieszał się pomiędzy tłumem.

W téy krytycznéy chwili z drugiéy strony zdrowa i krępa kobieta przeciskała się, żeby zobaczyć człowieka z siwą brodą. Trzymała ona na ręku brudnego chłopczyka, który widokiem starca przelękniony, zaczął krzyczeć z całéy siły — »Cicho Ryp, cicho» — mówiła kobieta — »a nie to ciebie, oddam starcowi» Imie dziecka, postać matki, dźwięk iéy głosu, wszystko to w wyobraźni Rypa szereg wspomnień obudziło — »Jak tobie imie moia niewiasto?» — zapytał iéy.

— »Judyta Gardenier.

»A imie twoiego oyca?

— »Ach! biedny człowiek! — nazywał się Ryp-van-Winkl. Już temu lat dwadzieścia, iak poszedł ze strzelbą w góry, i odtąd ani słychu o nim, pies iego sam ieden powrócił, i Bóg wié, czy się

on zastrzelił, czy go Indyanie porwali — nikt tego nie doszedł — Ja wtenczas byłam maleńką dziewczynką.

Rypowi zostawało iedno ieszcze pytanie: wymówił ie głosem drżącym.» Gdzież twoia matka?»

— »O! ona wkrótce potém umarła — Pękła iéy żyła sercowa ze złości na iednego Nowo-Angielskiego kramarza.

To była nakoniec kropla pociechy pomiędzy mnóstwem nowin boleśnych — Dobry Ryp nie mógł dłużéy wytrzymać, chwycił córkę i iéy dziecię w swoie objęcia. — »Ja iestem wasz oyciec, — zawołał — młody Ryp-van-Winkl, a teraz starzec — Czy zna ktokolwiek Ryp-van-Winkla?»

Wszyscy stali w zadumieniu, iedna staruszka wydobywszy się z tłumu, i przypatrzywszy się iemu z pod dłoni, poznała go zaraz i krzyknęła: »pewno, pewno, to Ryp-van-Winkl, to on sam — Jak się masz dobry sąsiedzie, gdzieżeś ty był przepadł na te lat dwadzieścia?

Ryp natychmiast opowiedział historyą, iak się mu lat dwadzieścia iedną nocą wydały.

Sąsiedzi słuchali go z podziwieniem; niektórzy mrugali ieden do drugiego, wypychaiąc gębę ięzykiem i uśmiechaiąc się dwuznacznie. I sam nawet poważny człowiek w tróykątnym kapeluszu, powróciwszy na scenę, kiedy niebezpieczeństwo minęło, zmienił surowy wyraz swoiéy twarzy, uśmiechnął się i kiwnął głową; zanim — kiwnął też każdy po kolei.

Uradzono wszakże czekać zdania starego Piotra Fanderdonka, który w oddaleniu pokazał się na drodze i powoli się zbliżał ku zebraniu. Był to potomek historyka tegoż nazwiska, piszącego niegdyś naypierwsze dzieie tego kraiu. — Piotr, wiekiem naystarszy w całéy wiosce, wiedział na pamięć wszystkie zdarzenia i podania okoliczne. Poznał on Rypa od razu, i rzetelność iego historyi naydokładniéy usprawiedliwił, zaręczaiąc całemu zgromadzeniu, że w saméy rzeczy góry Katskil obfituią w istoty cudowne, i wątpić nie można o prawdziwości podania, że duch wielkiego Henryka Hudsona, pierwszego wynalazcy téy rzeki i krainy, zawsze co lat dwadzieścia na pełni xiężyca, utrzymuie w górach z ludźmi swoiego statku, pewny rodzay straży; ma pozwolenie odwiedzać mieysca przez siebie odkryte, i opiekuńczém okiem czuwać nad rzeką, oraz nad miastem od swoiego imienia nazwaném; że oyciec iego Fanderdonk, widział pewnego razu Hudsona i iego ludzi w osobliwszych hollenderskich ubiorach, graiących w kręgle, na dolinie między górami, i że sam Piotr Fanderdonk słyszał iednego wieczora latem, turkot kul taczanych, zupełnie podobny do oddalonego grzmotu.

Roztrząsnąwszy dokładnie przygody Rypa, rozeszła się gromada, i udano się do ważnieyszych czynności obrad. Córka Rypa przyięła go do swoiego wygodnego i dobrze zagospodarowanego domku, a Ryp poznał, że iéy mąż był iednym z tych maleńkich sowizdrzałów, co nayczęściéy wdrapywali mu się na plecy. Co się zaś tycze syna i następcy Rypa, iak dwie krople wody do oyca podobnego, o którym wyżéy była wzmianka, kiedy leżał pod drzewem, ten chociaż pracował około roli u swoiéy siostry, zawsze iednak trzymał się dziedzicznéy po oycu skłonności, robienia dla wszystkich, tylko nie dla siebie.

Ryp wziął się znowu do dawnieyszych przechadzek i nałogów. Wkrótce znalazł wielu przyiaciół, lecz iuż wywiędłych i obarczonych latami, dla tego więc chętniéy przestawał z ludźmi nowego poko-

lenia, i prędko pozyskał zupełne u nich zaufanie.

Niemaiąc nic do czynienia w domu, i będąc iuż w tym wieku, kiedy można wszystko robić bezbronnie, Ryp zawoiował sobie mieysce na ławie przy drzwiach traktyerni, i był uważany za naystarszego w wiosce: za kronikę żyiącą dawnych poprzedzaiących woynę czasów. Nie prędko iednakże mógł przyiąć udział w powszechnych sprawach i rozmowach: bo niełatwo oswaiało się z niemi iego poięcie, nieobecne powszechnemu biegowi rzeczy przez długi przeciąg uśpienia. Jakim sposobem wybuchnęła woyna i uczyniła Amerykę od staréy Anglii niezależną, iak on zamiast poddanego Króla Jerzego III. zaczął nazywać się obywatelem Stanów Zjednoczonych, to go mało obchodziło. Takie zmiany w społeczności mało działały na iego polityczne wyobrażenia. Jeden był tylko kształt rządu, na który on szemrał — panowanie żony; lecz to skończyło się, chwała Bogu, i uwolniony od iarzma małżeńskiego, mógł iuż swobodnie wędrować, gdzie mu się podobało, bez obawy ięzyka pani van-Winklowéy. Z tém wszystkiém, ieśli czasem przy nim wspomniano iéy imie, według starego nałogu zżymał ramionami, kiwał głową i pozierał zyzem. Jedni uważali to za znak pokornéy uległości losowi; drudzy mniemali, że to wyrażało radość z oswobodzenia.

Ryp opowiadał swoię historyą każdemu cudzoziemcowi, odwiedzaiącemu traktier Dulintla. Z początku coraz odmieniał niektóre okoliczności zdarzenia, może dla tego, że był ze snu; nakoniec ustalił się na tém co w téy powieści powtórzono, i to umieli na pamięć wszyscy mieszkańcy okoliczni, baby i dzieci. Niektórzy powątpiewali o rzetelności zdarzenia, uważaiąc Rypa za człowieka pomięszanego umysłu i szczególnie bredzącego w tym przedmiocie. Jednakże wszyscy hollenderscy osadnicy wierzyli temu zupełnie przez łatwowierność pospólstwu właściwą. F. W. (z Dz. Wil.)

II.

LITERATURA.

Rzut oka na literaturę Rossyyską.

Wyciąg ze wstępu objaśniaiącego Atlas etnograficzny kuli ziemskiéy, *przez Adryana Balbi*, w Paryżu, u księgarzy Reya i Graviera 1826.

(Ciąg dalszy.)

Przechodząc z epopei poważnéy do epopei komicznéy, nie będziemy się zastanawiali nad poematami *Maykowa* p. t. *Bachus w szaleństwie* i *Gracz*, z których pierwszy szczególniéy zasługuie na uwagę, dla oryginalności swoiéy i wesołości, nieszczęściem często zabardzo nieprzyzwoitéy. Pośpieszymy zaś do epoki, w któréy *Bogdanowicz* wydał swoię *Psychę*, poema w trzech pieśniach. Zarzucaią dziełu temu mięszaninę mitologii starożytnéy z cudownością gminnych powieści Rossyyskich; lecz błąd ten w układzie planu popełniony, wynagradza poeta opowiadaniem pełném wdzięku i dowcipu, i wersyfikacyą, iakkolwiek czasami niepoprawną; zawsze przecie łatwą i bardzo przyiemną. Bogdanowicz (uro: 1743, um: 1802;) zostawił ieszcze wiele poezyi różnego rodzaiu. Nie wszystkie mu one równą, iak Psyche, chwałę przyniosły. Wspominaią iednakże z pochwałą iego przekład poematu Woltera p. t. *spustoszenie Lizbony*.

Sztuka drammatyczna, którą iak iuż o tém wyżéy powiedzieliśmy, Sumarokow w Rossyi zaprowadził, znaczne w téy epoce uczyniła postępy, a szczególniéy pod względem Komedyi. Co się dotycze Tra-

gedyi, prace Cheraskowa, Kniaznina (ur: roku 1742, um: r. 1794,) i Nikolewa, pomnożyły wprawdzie repertoryum Rossyyskie, ale nie posunęły bynaymniéy samèy sztuki ku doskonałości. *Kniaźnin* którego styl iest czystszy niżeli Sumarokowa, niższy iest przecie w każdym innym względzie od swego poprzednika.— Naganuym iest Kniaźnin szczególniéy z tego, że okradał autorów Francuzkich bez żadnego względu i psuł nayczęściéy naypięknieysze kawałki, wkładaiąc ie nayniestósowniéy w usta osób swoich Tragedyi. Nie był on wprawdzie więcéy sumiennym i w swoich Komedyach, ale umiał przynaymniéy lepiéy użyć pożyczonego od innych materyału.— Niektóre iego Komedye utrzymuią się dotąd ieszcze na scenie, szczególniéy zaś *Fanfaron*, Komedya w 5ciu Aktach, wierszem napisana, którą naśladował z Komedyi P. Brueys p. t. Ważniś (l'importaut) Komedya ta Kniaznina przedstawia kilka charakterów prawdziwych i komicznych, które ze znaiomości obyczaiów czasu swego wyczerpał, i niektóre rysy dowcipu z własnego natchnienia.

Kto chce znaleźdź prawdziwie trafne odmalowanie obyczaiów téy epoki, niechay go szuka w dwóch Komedyach *Wizina*, w *Brygadyerze* i w *małoletnim* (sztuka ta przełożona iest na ięzyk francuzki pod tytułem *Dudek*, le Dadais). Ta ostatnia Komedya Wizina iest niewątpliwie naylepszą ze wszystkich komedyi oryginalnych literatury Rossyyskiéy. Miała ona właśnie ten rzadki skutek pomyślny, iż poprawiła te błędy, przeciw którym powstała; tak pociski, któremi autor w niéy rzuca, są ostre i dotkliwe.— Żałować trzeba tylko, że Komedye te nie wierszem są napisane; ale bydź może, iż coby przez to zyskały w wytworności, utraciłyby znowu w naturalności.

Z Epoki téy ieszcze zasługuią na uwagę dwie Komedye: iedna p. t. *Śmiech i Smutek* przez *Kłuchina*, druga p. t. *Występny z namiętności do gry* przez *Effimiewa*, obiedwie wierszem napisane.

Opera wiele także winna Kniazninowi. Niektóre z płodów iego w tym rodzaiu, długo zaymowały pierwsze mieysce na scenie Rossyyskiéy. Miał on wielu spółubiegaiących się, lecz tu wspomniemy tylko o iedném dziele tego rodzaiu p. t. *Młynarz* przez *Ablesimowa*, które za pierwszy wodwil w Rossyi uważaią; a to tak z porządku chronologicznego, iak niemniéy i dla pewnéy nawet iego literackiéy zasługi. To przynaymniéy iest prawdą, iż sztuka ta przedstawia wierny obraz obyczaiów w pożyciu wieśniaków w Rossyi, i że obraz ten wesoły iest i oryginalny.

Pozostaie nam więc tylko wspomnieć tu o iednym ieszcze poecie z czasu téy pierwszéy epoki panowania Katarzyny.— Jeżeli zaś powiemy, że pisarz ten do zamiłowania wszystkiego cokolwiek iest szlachetném, piękném i wspaniałém, do moralności praktycznéy nayzdrowszéy i naynaturalnieyszéy; łączył zarazem w pismach swoich tę dobroduszność i tę prostotę, która w postrzeżeniach na pozór naturalnych i powszednich, przedstawia nam przecie wypadek długiego rozpamiętywania wszystkich stosunków towarzystwa, i obyczaiów swego kraiu: czyliż wtedy ieszcze potrzeba będzie wymienić z nazwiska, pisarza baiek *Chemnicera*? Co do iego stylu, ten niekiedy iest niepoprawny, lecz w ogólności dość czysty i naturalny. Życzéćby należało, ażeby ci wszyscy, którzy w tymże zawodzie iego śladem poszli, iego właśnie za wzór sobie przyięli, i tylko błędów iego starali się

unikać. A lubo wersyfikacya iest częścią naysłabszą pism iego, i ta przecie ma swoie niektóre zalety. Chemnicer umarł w r. 1784 maiąc lat 40.

Mowa niewiązana idzie zwyczaynie u wszystkich narodów wolnym krokiem za postępem poezyi. We Francyi, w tymże czasie kiedy Montaigne ieszcze wątpliwe kroki stawiał, wtedy iuż Malherbe śmiałością swoiego lotu podziwiał. Cudownem iest przeto zjawiskiem mowa niewiązana Łomonosowa, którego rozprawy akademickie, dzisiay nawet ieszcze, za wzór wymowy są uważane. Ten wyskok geniuszu nie znalazł przez czas długi naśladowców, i niedawno dopiero przed tą epoką, o którey obecnie mówimy, mowa niewiązana kształcić się poczęła. Lecz iak tylko iuż raz przyięło się rzucone w rolę nasienie, wtedy iuż wzrost drzewa był nagły, a niektóre nawet iego gałęzie tak wysoko się wzniosły, że iuż odtąd podnieść się wyżey nie mogły.

Wymowę kazalną posunął Metropolita *Platon* do tego stopnia, że iuż żaden z iego następców póyśdź z nim w zapasy nie poważył się. Niektórzy dzisieysi kaznodzieie, nie śmieiąc iśdź iego śladem, zamiast wzruszać swoich słuchaczów chcą ich przekonać, i tak wdaiąc się zbytecznie w teoryą religii, staią się zimnemi i niezrozumiałemi. Oprócz Platona byli ieszcze i inni wymowni Kaznodzieie za czasów panowania Cesarzowey Katarzyny.— Prałat ten żył aż do roku 1812, w którym umarł, życia maiąc lat 75.

Pracowano również i w innych rodzaiach wymowy z mniey lub więcey pomyślnym skutkiem; *Wizin* (ur: r. 1745, um: r. 1792), o którym mówiliśmy pod względem sztuki drammatyczney, był ieden z naylepszych prozaistów swoiego czasu. Zostawił on niektóre przekłady, iak np: poematu przez Bitaubé pod tyt. *Józef* i *Pochwały Marka Aureliusza* przez Thomasa, które dla czystości i krasomowności swego stylu odznaczaią się nawet pomiędzy dziełami dzisieyszego czasu.— Powieści iego, tak oryginalne iako i przekładane z francuzkiego, będą zawsze wzorem dla pisarzów tego rodzaiu. Niektóre iego listy w ostatnich czasach wydane, dowodzą, że i sztuka pisania listów nie była mu obcą.

Kostrow (umarł r. 1796) tak sławny przez swoie tłómaczenie Jliady, przełożył także poezye Ossyana. Przekład ten uważany iest w Rossyi iako arcy-dzieło prozy poetyczney.

W rodzaiach historycznym, listownym i dydaktycznym pracował z dość pomyślnym skutkiem *Murawiew*, nauczyciel Cesarza ALEXANDRA, a późniey Jego Radca w Administracyi Państwa. Pisarz ten, ukształcił się zgłębianiem ięzyków, Sławiańskich i wielkich mistrzów starożytności, t. j. prowadząc się w naukach swoich podług zasad przepisanych przez wzorowego Łomonosowa.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

III.
MYŚLI.

Moda osobliwszą ma władzę, przymusza nas abyśmy byli śmiesznemi pod karą śmieszności.

Rozkazać sercu żeby nie miało zmartwień, iest toż samo co rozkazać niebu żeby się nie pokrywało chmurami.

Sztuka podobania się, zależy na tém aby umieć znaleśdź trafny stopień przyiemnego zadziwienia.

Ten, kto raz postradał nitkę honoru, nie zdoła wydostać się z labiryntu ochydy.